

Pisanie jest wolnością



Weronika Murek:
swoje literackie
dyktatorskie zapędy
realizują pisząc opowiadania

– **Wielu rzeczy nie rozumiem i pewnie dlatego też piszę: żeby świat sobie obłaskawić, żeby zadać mu jakieś pytanie.**

ROZMOWA Z
PISARKĄ WERONIKĄ MUREK

MARTA ODZIOMEK: Co sobie pomyślałaś, kiedy dowiedziałaś się, że zostałaś nominowana do Paszportów „Polityki”?
WERONIKA MUREK: Byłam zdziwiona, bo wiedziałam, że wielokrotnie znacznie lepsze książki niż moja przepadały podczas nominacji. Ale oczywiście byłam również szczęśliwa i zaszczyczona, przede wszystkim dlatego, że ta moja debiutancka książka nie przeszła bez echa, znalazła swoich odbiorców: czytelników i krytyków, ludzi, którym chciało się po nią sięgnąć, a czasem nawet o niej napisać. To zaszczyt, bo wiem, że wcale tak nie musiało być: to niewielka książeczka, w dodatku zbiór opowiadań, które nie są gatunkiem specjalnie

chętnie wydawanym w Polsce - na domiar złego wszystko to było napisane przez nikomu nieznaną autorkę.
Twoja debiutancka książka wydana nakładem wydawnictwa Czarne - „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina” - za którą m.in. zostałaś nominowana do Paszportów „Polityki”, to zbiór opowiadań. Dlaczego zdecydowałaś się na taki rodzaj komunikacji z odbiorcą?
- Pewnie dlatego, że z natury jestem konkretna i lakoniczna. Uważam, że jeżeli cokolwiek da się powiedzieć, to da się to powiedzieć krótko, dlatego też najbardziej odpowiadała mi forma zwięzłych opowiadań. Chciałabym kiedyś zmierzyć się z dużą, wielowątkową fabułą, ale wydaje mi się, że to jedno z tych wyzwiań, którym na razie bym nie sprostała. Jest taka anegdota o Kurcie Vonnegucie, którą we wspomnieniach przytacza jego syn Mark: w latach 50. XX w. Vonnegut zatrudnił się w redakcji gazety „Sport Illustrated”. Pierwszego dnia pracy stawił się w biurze i dostał polecenie napisania tekstu o koniu wyścigowym, który przeskoczył ogrodzenie i próbował uciec. Przez cały ranek pisarz wpatrywał się w pustą kartkę, następnie napisał na maszynie:

„Koń przesadził pierdolone ogrodzenie”, po czym się zwolnił. Myślę, że wszyscy, którzy cokolwiek tworzymy czy piszemy, jesteśmy skrepowani swoim temperamentem i zainteresowaniami, bez względu na to, czy chodzi tu o wielkiego pisarza, takiego jak Vonnegut, czy o jakąkolwiek inną osobę.
Zgadzasz się z określeniem, że uprawiasz polską odmianę realizmu magicznego lub też psychodelicznego folkloru?
- Pisząc swoją pierwszą książkę, zupełnie nie miałam zamiaru wykreować rodzimej odmiany realizmu magicznego. Ale faktycznie, takie określenia dotyczące mojej twórczości się pojawiają. Sama, gdybym miała ją w jakiś sposób określić - z braku lepszego pomysłu - to powiedziałabym, że uprawiam realizm magiczny „z wkładką”, czyli z polskim „dekorem”.
Co do folkloru - owszem, jestem nim zafascynowana i faktycznie jest on jednym z głównych tematów „Uprawy roślin południowych metodą Miczurina”.
Dlaczego?
- Według mnie jest nieliczną pozostałością po „magicznym myśleniu” w naszej kulturze - myśleniu,

które teraz przejawia się jeszcze czasem w odruchu, kiedy unikamy przechodzenia pod drabiną czy analizujemy swoje sny. Ono - to myślenie magiczne - ciągle gdzieś tkwi i w nas, i w otoczeniu. Mnie jego powidoki we współczesnym świecie głęboko fascynują, więc rozpięłam ten wymagowany przecież świat właśnie na żerdziach folkloru i zabobonu.
Zanim byłaś nominowana do Paszportów „Polityki”, zostałaś laureatką Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej za sztukę „Feinweinblein”. To też był twój debiut - tyle że dla sceny. Forma jest tu równie ważna jak treść.
- To prawda. Jednym z głównych bohaterów tej sztuki jest język i to, w jaki sposób się zmienił wobec zmiany rzeczywistości społeczno-politycznej. W tym konkretnym przypadku rzeczywistość Polski przedwojennej, wojennej przechodzi w rzeczywistość Polski komunistycznej. „Feinweinblein” składa się z trzech wątków: pierwszy z nich opowiada autentyczną historię pary, która w trakcie wojny, omamiona propagandą, w ramach akcji T-4 (eugeniki) „oddaje” swoje niepełnosprawne intelektualnie dziecko w zamian za radio. Natrafiłam na tę historię, przesz-

ując archiwa Żydowskiego Instytutu Historycznego: opisany mechanizm był tak wstrząsający, że pomyślałam sobie, że warto o tym opowiedzieć. Drugim wątkiem tej historii jest przemiana języka, o której wcześniej wspomniałam. W trzeciej warstwie to historia ludzi z bardzo małej, zapomnianej przez świat miejscowości, którzy nie potrafią się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Boli ich to, że w trakcie wojny mieli chociaż swoją tożsamość - tożsamość ofiary, po wojnie zupełnie o nich zapomniano. Słuchają radia, piszą listy, które nigdy nie dotrą pod właściwy adres, chociażby dlatego, że po wojnie wszystko się zmieniło i instytucje, które znali, adresy, pod które mogli napisać, już nie istnieją.
Jesienią Robert Talarczyk, dyrektor Teatru Śląskiego w Katowicach, zaproponował ci napisanie „Sztuki mięsa”, którą wyreżyserował i która swoją premierę miała w grudniu. Wciągnął cię świat teatru?
- Bardzo. Moje doświadczenie teatralne jest cały czas niewielkie. W tamtym momencie było niemal żadne i Robert Talarczyk, zapraszając mnie do współpracy, wykazał się sporą odwagą. Życzylabym każdemu twórcy, aby - w czysto ludzkim sensie - mógł

debiutować w takich warunkach, w jakich ja debiutowałam; w takiej życzliwości i w tak przyjaznej, pełnej wyrozumiałości atmosferze i wśród ludzi takiej klasy - mówię teraz o całym środowisku Teatru Śląskiego. Dla mnie to było bezcenne doświadczenie. Sztuka, za którą dostałam Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną, była drugą, którą napisałam w życiu, a dzięki temu, że mogłam być obecna na próbach i że mogłam zobaczyć, w jaki sposób teatr żyje, działa, myśli, w jaki sposób stawia pytania, w jaki sposób szuka odpowiedzi, zaczęłam zdobywać bardzo ważne doświadczenia - chociażby tego, jak sprawdza się tekst w pracy aktorów i w jaki sposób są w stanie go zmienić czy uszlachetnić.

Balaś się, że napisany przez ciebie tekst może być potraktowany przez reżysera zupełnie inaczej?

- Nie, bo miałam świadomość, że teatr to gra zespołowa i rządzi się innymi prawami niż pisanie prozy. Decydując się na taką współpracę, ja na te reguły przystałam. Każdy spektakl jest wypadkową wielu czynników, wielu pomysłów, wielu osobowości i wielu doświadczeń. To nie jest tylko „mój” świat, ale - w tym konkretnym przypadku - świat Roberta Talarczyka, Mateusza Znanieckiego, scenografki Ilony Binarsch, świat aktorów: Aliny Chechelskiej, Bogumili Murzyńskiej, Bartłomieja Błaszczyńskiego, Michała Piotrowskiego, Marcina Szaforza, Zbigniewa Wróbla, Marii Baładzanow, Patrycji Mygi, świat pozostałych realizatorów, wreszcie też świat widzów, bo każdy widz sobie ten spektakl w jakimś sensie samodzielnie składa. Tekst dla teatru jest tylko ewentualną przestrzenią dla takiego spotkania. Ja swoje literackie dyktatorskie zapędy realizuję, pisząc opowiadania; w teatrze współpracuję z ludźmi o wiele bardziej od siebie doświadczonymi i ze świetnymi fachowcami, a to, co powstaje w trakcie takiej współpracy, jest niejednokrotnie ciekawsze niż to, co sama bym sobie wykoncypowała. Zresztą nie trzeba wcale mi wierzyć na słowo, tylko samemu sprawdzić, w jaki sposób ten tekst żyje i w jaki sposób - dzięki aktorom - się zmienia, wybierając się na „Sztukę mięsa” na Scenie w Galerii.

Odbyłaś niedawno podróż na Islandię i planujesz tam powrócić, ponieważ chcesz spróbować napisać reportaż o tym kraju. Czemu ten rejon i taka forma właśnie?

- Spotykałam się często z zarzutami, że moja książka jest „wymyślona”, a przez to gorsza, i w pewnym momencie miałam ambicję napisania czegoś, co by się przed tym zarzutem obroniło: reportażu lub eseju. Dziś już ta ochota jest mniejsza. Ale wracając do pytania: faktycznie, jestem zafascynowana Islandią i chciałabym jeszcze o niej kiedyś napisać. To niewielki (300-tysięczny) kraj; ni by europejski, a jednak na tyle oddalony od kontynentu, że fascynujący swoistą egzotyką. Frapuje mnie mentalność mieszkańców Islandii, ich

otwartość i poziom społecznego zaufania. Jeżeli któregoś dnia wymyśliłam sobie, że chciałabym napisać coś o działaniu prawa i islandzkiej policji, następnego dnia siedziałam na posterunku, przymierzając policyjny hełm, a komendant pokazywał mi walizkę z narzędziami do zbierania dowodów na miejscu zbrodni. Nikt



Wyuczone na pamięć przepisy kiedyś wywietrzeją albo przestaną być aktualne. Studia prawnicze nauczyły mnie przytomnego czytania i analizy tego, co czytam

nie pytał, kim jestem, nikt mnie nie legitymował; wystarczyło, że powiedziałam, że mieszkam u „Elisabeth w zielonej chatce przy głównej ulicy”. Interesujące było także to, w jaki sposób podchodzi się na Islandii do jednostki. To niewielki kraj, niemal wszyscy się znają. 10 stron największej islandzkiej gazety to nekrologi i każdy Islandczyk - czy prezydent, czy bezdomny - może być pewien, że kiedy umrze, jego śmierć będzie dla społeczeństwa na tyle ważna, że zostanie opisana czy wspomniana w największej gazecie.

Zanim zostałaś pisarką, byłaś początkującą prawniczką. Czego nauczyło cię studiowanie prawa w kontekście uprawiania literatury?

- Chociażby analizy zdania - na poziomie sensu i logiki. Wyuczone na pamięć przepisy kiedyś wywietrzeją albo przestaną być aktualne (jeśli już nie wywietrzały albo jeśli już nie zostały zmienione), natomiast studia prawnicze nauczyły mnie - mam nadzieję - przytomnego czytania i analizy tego, co czytam, i do żadnych umiejętności nie wracam równie często, jak do umiejętności, które pozyskałam na zajęciach z logiki, filozofii czy wstępu do prawoz-

nawstwa. Bez względu na to, że można odbierać moje opowiadania jako opowiadania zupełnie odklejone, osadzone w obcym, wymyślonym świecie, bardzo dbałam o to, aby były one spójne i logiczne w ramach tego wykreowanego świata i wobec jego zasad. Jeżeli w jednym opowiadaniu zegar działa do tyłu, to staram się, by wskazówki wszystkich zegarów w innych opowiadaniach też się cofały. Chcę zachować spójność tego, o czym piszę. Myślę zawsze o tym, na ile sposobów może być odczytane jedno zdanie.

Świat, który opisujesz, jest fascynujący, ale dziwaczny. Czasem nieprzyjemny. Na pewno niezrozumiały. Pozbawiony duchowości. Czy świat otaczający ciebie jest miejscem przyjaznym, czy wręcz przeciwnie?

- Dla mnie świat, na którym żyjemy, jest jedynym możliwym światem i z tego chociażby powodu jest najlepszym ze światów. Jasne, że wielu rzeczy nie rozumiem i pewnie dlatego też piszę - żeby świat sobie oblaśkawić, żeby zadać mu jakieś pytanie. Zawsze na początku mojej pracy jest pytanie.

Czym jest dla ciebie pisanie?

- Wolnością. Poczuciem, że coś jest tylko moje, że sprawuję nad czymś absolutną kontrolę.

Czy jesteś czytana za granicą?

- Mam nadzieję, że kiedyś będę. Wybieram się właśnie do Budapesztu na Europejski Festiwal Literacki, gdzie będę reprezentowała Polskę i promowała swoje opowiadania. Liczę na to, że jeszcze w tym roku ukaże się tłumaczenie „Uprawy roślin południowych metodą Miczurina” we Francji, a w dalszej perspektywie również w Serbii. ●

ROZMAWIAŁA **MARTA ODZIOMEK**

WERONIKA MUREK - jest absolwentką Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego. Urodziła się w Bytomiu, mieszka w Katowicach. Ma 27 lat. Jej zbiór opowiadań „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina” uznano za jeden z najciekawszych debiutów minionego roku. Za sztukę „Feinweinblein” otrzymała Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną 2015. Była również nominowana do Paszportu „Polityki”. W grudniu w Teatrze Śląskim w Katowicach miała miejsce premiera jej dramatu „Sztuka mięsa” w reżyserii Roberta Talarczyka, napisanego na zamówienie tej sceny.

Rozmowa powstała w związku ze spotkaniem z Weroniką Murek, które odbyło się w środę 6 kwietnia w Bellmer Cafe w Katowicach.

Spotkanie z pisarką zostało zorganizowane na zamówienie i z inspiracji organizatorów Europejskiej Stolicy Kultury i Światowej Stolicy Książki UNESCO 2016. Było częścią projektu, w ramach którego w kraju odbywają się spotkania z pisarzami. Finałem będzie „Gazeta Pisarzy”, która ukaże się w sobotę 23 kwietnia.